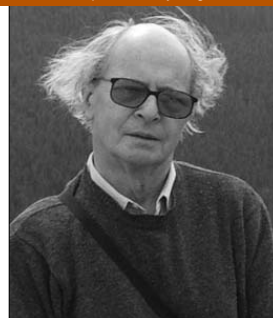


Marcin Kula

Jest tylko cienka czerwona linia między rozsądkiem a szaleństwem¹



Powyższy tytuł jest starym powiedzeniem z amerykańskiego Środkowego Zachodu. Został wykorzystany przez Jamesa Jonesa jako tytuł książki o walkach Amerykanów z Japończykami podczas II wojny światowej². Zacytowane powiedzenie adekwatnie oddaje moje uczucia w stosunku do obecnej ewolucji szkolnictwa wyższego, być może zresztą nie tylko w Polsce. Od czasów własnych studiów byłem wobec niego krytyczny. Nie miałem cienia wątpliwości co do potrzeby reformy. Zawsze miałem wrażenie, że polskie środowisko naukowe, które powinno być innowacyjne, jest niezwykle konserwatywne, wręcz okopane przeciw zmianom. Widziałem, że jest bardziej przywiązane do solidności, zwłaszcza solidności przerobienia materiałów i zrobienia porządných przypisów, niż ożywione choć odrobiną fantazji i dążenia do oryginalności. Z czasem przyszły obserwacje, wskazujące na nasze marne położenie w międzynarodowym życiu naukowym oraz sformalizowane wyniki w tym zakresie. Co gorsza, nie dawało się już ich wytłumaczyć trudnościami stwarzanymi przez ustrój komunistyczny.

Nie podoba mi się idea rankingów uczelni, ale świat jest, jaki jest i wzorem rang w wojsku robi rankingi z grubsza w każdej dziedzinie. Gwiazdki przyznaje się zabytkom, hotelom, knajpom, filmom. Niedługo będziemy przyznawali gwiazdki poszczególnym młodym ludziom, by ułatwić im wybór współmałżonka. Stosowanie wszędzie gwiazdek, ocen parametrycznych i rankingów odmóżdża i dla ułatwienia pracy mózgow zostało stworzone, przynajmniej w odniesieniu do knajp. Rozumiem jednak, że w społeczeństwie masowym ludzie muszą mieć proste sygnały informacyjne. Sam,

¹ Referat, jako przygotowany na Kongres Kultury Akademickiej, został opublikowany w przeddzień jego spotkań na łamach „Przeglądu Politycznego” 2014, t. 123, s. 32–41.

² James Jones, *Cienka czerwona linia*, tłum. Bronisław Zieliński, Książka i Wiedza, Warszawa 1984.

choćby idąc do kina, w wyborze filmu patrzę na liczbę gwiazdek przy tytule. Wciąż wierzę jednak, że uniwersytet czymś różni się od knajpy i nie przejmuję się nadmiernie rankingami i gwiazdkami. Widziałem już zresztą instytucje niezłe w rankingach, a marne w mojej opinii. Niestety jednak nawet bez rankingów widać, że przynajmniej w humanistyce jesteśmy dziś mało obecni w nauce światowej, choć w zakresie mądrości (głupoty) krzywa Gaussa najpewniej sprawdza się u nas, jak wszędzie. Reforma była zatem potrzebna.

Każde działanie, w tym także prowadzone w imię modernizacji nauki, może jednak obrócić się w swoje zaprzeczenie – i chyba coś takiego właśnie ma miejsce. Prawda, że środowisko nie zdołało się samo zreformować, więc teraz reformują je urzędnicy/politycy. Nie mogę wszakże oprzeć się wrażeniu, że w ramach tej reformy wszyscy odeszliśmy od zdrowego rozsądku. Nie spotkałem choćby jednej koleżanki, ani jednego kolegi, którzy by nie obawiali się, że wpadliśmy w zbiorowe szaleństwo. Mocno to kontrastuje z optymistycznymi poglądami, zaprezentowanymi podczas inauguracji II Kongresu Polskiej Edukacji (2013). Elektroniczny *Newsletter* MNiSW tchnie także zachwytem Ministerstwa nad sobą, nauką i szkolnictwem. Zaczyna się – a przynajmniej do niedawna zaczynał – najczęściej od wymienienia działań Pani Minister. Cóż ja zrobię, że nasuwa mi się refleksja, iż już kiedyś widziałem krzywe pnące się w górę, zawsze w górę – oraz Dziennik TV, najczęściej z Edwardem Gierkiem na pierwszym planie.

Może wszyscy, a przynajmniej lepiej mi znana humanistyczna kadra wyższych uczelni, jesteśmy konserwatywni. Gdy pewnej osobie, zasłużonej w reformowaniu Polski po 1989 r., powiedziałem w kontekście szkolnictwa wyższego, że nie da się go zreformować bez naszej życzliwej współpracy, odpowiedział mi, że w dziele reformy nigdy nie uzyskuje się współpracy sił zainteresowanych w trwaniu dotychczasowej, korzystnej dla nich sytuacji. Może mój rozmówca miał rację. Tak się jednak składa, że wyrazy wsparcia po moich artykułach krytycznych wobec kierunku różnych zmian otrzymałem od ludzi, których uważam za bardzo dobrych zawodowo i z pewnością nie konserwatywnych. Jedna z najlepszych i najbardziej „umiędzynarodowionych” osób w mojej dziedzinie napisała po moim artykule o sposobie działania Narodowego Centrum Nauki: „Dziękuję za artykuł i cieszę się, że masz siły i ochotę, by opisywać te bezsensy” (2013). Inny wybitny i też funkcjonujący międzynarodowo historyk, po artykule o dzisiejszej pozycji profesora napisał mi: „Znakomity. Sam napisałem dla *Forum Akademickiego* tekst o naszej reformie, a potem przestałem się w to wtrącać, gdyż mi trochę szkoda czasu. Podziwiam Pana, ale sam tak nie potrafię. Przynajmniej teraz” (2012). Zrobiła na mnie wrażenie liczba listów z poparciem, które otrzymałem nawet od nieznajomych koleżanek i kolegów po opublikowaniu

felietonu krytycznego wobec NCN-u. Trudno mi założyć, że w ten sposób wyżywali się ci, którzy nie uzyskali grantów.

Polskie szkolnictwo wyższe nie ma w tej chwili wiele więcej cenniejszego niż kadra. Ona jest zaś obecnie sfrustrowana i skłócona z władzami. Nieraz powołuje się na Finlandię jako przykład pozytywnej reformy szkolnictwa i nauki. Tam jednak nie tylko wymagano wiele od nauczycieli każdego szczebla, ale wiele im dano. Wszystkie kraje, które uczyniły naukę czymś ważnym, a tym samym poprawiły swoją pozycję międzynarodową, jako istotną część działania traktowały podniesienie prestiżu nauczycieli wszystkich szczebli – czego zwiększenie zarobków było istotnym, acz nie jedynym elementem. Od tych ludzi oczekiwano czegoś twórczego. U nas natomiast niewiele się daje w sensie materialnym, zaś robi dużo, by pogorszyć kondycję psychiczną kadry. Gdy niedawno opracowano nowy program nauczania historii, którego istotną zaletą było zwiększenie swobody nauczyciela przy oczekiwaniu odeń inicjatywy, to od razu pojawiły się protesty (choć w tym wypadku akurat płynące nie ze strony władz!). Nawet do projektowanego referendum w sprawie szkolnictwa powszechnego, którego idea została odrzucona przez Sejm 8 listopada 2013 r., inicjatorzy (Ruch „Ratuj maluchy i inne dzieci też”) wprowadzili pytanie: „Czy jesteś za przywróceniem w liceach ogólnokształcących pełnego kursu historii i innych przedmiotów?”. Pomińmy już, co w ogóle znaczy „pełen kurs” jakiegokolwiek przedmiotu. Ważniejsze, że to sformułowanie zakłada sprzeciw wobec reformy programu przynajmniej pole działania nauczycielom historii.

Boli mnie, że w moim otoczeniu kilkoro kolegów, także tych, których uważam za najlepszych specjalistów, połową swego czasu pracuje na uczelniach zagranicznych. Samo w sobie to oczywiście nie jest złe, ale rozumiem, że nie są w stanie znaleźć sobie pola działania pomiędzy konserwatyzmem, teraz często tym mocniejszym, że obronnym, a reformą wprowadzaną z neoficką gorliwością. Podobne zjawisko widziałem kiedyś w Brazylii: wielu z mających rozum kolegów znajdowało tam częściowe zatrudnienie na uczelniach w USA. Nie rezygnowali z brazylijskich, bowiem potrzebowali związku z nimi wobec Amerykanów, a także jako zabezpieczenie (bądź po prostu ze względów sentymentalnych). Swój wysiłek inwestowali jednak za granicą. I bardzo mi było przykro, gdy jeden z moich najwybitniejszych uczniów powiedział mi kiedyś w przypiływie szczerości, że żałuje, iż po studiach nie poszedł po prostu do biznesu; miałby przynajmniej pieniądze (w domyśle: a tak nie ma ani pieniędzy, ani satysfakcji).

Uczelnia to przede wszystkim profesorowie. Co by nie było, w ostatecznym rozrachunku to oni decydują (to my decydujemy) o wszystkim. Tak, wiem, profesorowie są czasem okropni, czasem źle wykształceni, czasem zwarowani, czasem nic nie robiący latami (do Polski też mogłoby się odnosić powiedzonko powtarzane przez lata we Francji, w myśl którego skrót ich centralnej instytucji naukowej CNRS oznaczał jakoby Centre Nationale du Repos Scientifique).

Z pewnością wiele pretensji wobec profesury jest zasadne. Nie ulega wątpliwości, że jest źle, gdy człowiek nie wytknie nosa poza własną uczelnię od studiów do emerytury, zaś publikuje (jeśli publikuje!) jedynie w lokalnych czasopismach. Niektóre cechy tej sytuacji są jednak związane ze specyfiką uprawianej nauki. Można życzyć historykowi dziejów Polski jak najczęstszego publikowania w czasopismach światowych, ale jakoś tak się składa, że – oczywiście niesprawiedliwie dla Polski (sic!) – na świecie jakoś wciąż jest mniej ludzi zainteresowanych tym polem tematycznym niż w samej Polsce. Wiem, że Singapur wprowadził w swoim czasie angielski do szkół jako pierwszy język i doprowadził nawet do mówienia ludzi na ulicach po angielsku (by stworzyć lepszy klimat dla obcych przedsiębiorców). Nawet to nie przekonuje mnie wszakże do traktowania języka polskiego w każdej dziedzinie naukowej jako języka dzikusów (nic nie ujmując naszym braciom – dzikusom!). *Please believe me, I do speak English and some other languages too, but I will still repeat: I am against English as the unique language of the academic communication in this country.*

Na uczelni zawsze funkcjonowali ludzie mądrzy i głupi. Osobiście wolę na uczelni lenia, czy wariata obok geniusza (czasem zresztą trudno oddzielić wymienione cechy) od dwóch poprawnych, ale całkowicie przeciętnych badaczy. Nadto trzeba działać bodźcami pozytywnymi w kierunku przyciągnięcia i związania najlepszych, a nie negatywnymi. Dziś bodźców pozytywnych jest mało, zaś faktycznie zwiększa się negatywne. Jeżeli ktoś ma szansę wylecieć z uczelni na skutek przegrania konkursu w wieku, w którym nie jest już łatwo znaleźć pracę, zaś młodszy są bardziej *up to date* i na ogół potrafią robić lepsze wrażenie na komisji konkursowej, to każdy rozsądniej zrobi, jeśli poszuka innego zatrudnienia od razu po studiach (oby mu się udało!). Zespół naukowy przeradający się w skamielinę nie jest rozwiązaniem wskazanym. Muszą dochodzić nowi ludzie, a więc musi istnieć wymiana pracowników – i to szybsza niż wynikająca z przemiany pokoleń. Jednak z drugiej strony zespół, będący czymś więcej niż grupą ludzi na liście płac, jest chyba jakąś wartością, nieprawdaż?

W obecnej sytuacji dawna (i słuszna!) teza, że miarą wielkości profesora jest wychowanie lepszych od siebie uczniów, czy też przeświadczenie, że profesor powinien zostawić na uczelni następcę, jest zawracaniem głowy. Cała ewolucja systemu edukacyjnego w świecie, w Polsce wsparta neoficką gorliwością, zmniejsza szanse posiadania uczniów, których można określić jako wychowanków danego profesora i zatrzymania ich na uczelni. Owa ewolucja eliminuje zjawisko szkół naukowych, zastępując je zdobywaniem punktów. Potencjalny następcza nie zostanie na uczelni, bowiem przegra konkurs, a w ogóle nie będzie etatów. Przykro mi, ale przypominają mi się głosy w stylu „Nie będzie nam tu profesor dyktował, kogo zostawić!”. Ja je słyszałem w wydaniu KU PZPR i ZMS-u na SGPiS-ie (dziś SGH) w 1968 r., ale starsi koledzy słyszeli je już wcześniej. Prawda, że dawniejszy system też nie gwarantował pozostawienia następcy, bowiem można było przegrać z pchającymi swoich uczniów kolegami, no i, co ważniejsze, z KU PZPR.

Profesor powinien mieć pewien prestiż. Powinien go sobie oczywiście sam wyrobić własną działalnością. Władze oświatowe mogłyby jednak go nie pomniejszać. Tymczasem, jeżeli nawet starsi profesorowie muszą poddawać się procedurze oceny naukowej według pytanek umiarkowanie zresztą sensownego kwestionariusza, to jest to wręcz upokarzające. Warto pamiętać, że prestiż niekoniecznie służy jedynie zachowywaniu „świętych krów”. Jeżeli przyjęło się, że każda redaktorka może napisać własny tekst nad oryginalnym, a w tej chwili do umów autorskich wprowadza się klauzulę, że wydawca czy instytucja zamawiająca mogą dowolnie zmienić tekst, którego stają się właścicielem, to trudno mówić o prestiżu profesora-autora. Jeżeli niedawno powołane czasopismo internetowe *Panorama PAN* w instrukcji dla autorów pomieszcza informację, że redakcja zastrzega sobie prawo – nawet bez porozumienia z autorem! – „skracania artykułów, nadawania im własnych tytułów lub/i śródtytułów, wprowadzania niezbędnych zmian stylistycznych, wynikających z normy językowej, wprowadzania niezbędnych zmian w układzie treści, wpływających na polepszenie czytelności tekstu”, to moja noga tam nie postanie. Nie mogę uznać sam siebie za niewiedzącego, co piszę, a na dodatek za nieumiejącego pisać już nie tylko po angielsku, ale nawet po polsku.

Jeżeli recenzje mamy robić według schematu, lub po prostu odpowiadać na pytania jak na przesłuchaniu, to nie widzę dla siebie miejsca w tym systemie (w kwestionariuszach najczęściej jest wszak pytanie o wszystko, tylko nie po prostu o moją opinię, którą chyba jednak potrafiłbym wyrazić). Jeżeli w instrukcji robienia recenzji wydawniczych dla celów starania się o dofinansowanie publikacji wskazuje się, że powinny one być datowane i podpisane; jeżeli oficjalnie powiedziano nam, co to jest monografia na-

ukowa, co to jest wydawnictwo źródłowe, a czym jest artykuł naukowy; jeżeli ważniejsze są punkty niż najlepsza opinia środowiska, to czuję się upokarzany. Gdy kiedyś leżałem w szpitalu, pielęgniarka zwróciła mi uwagę, aby czopek wyjąć z plastikowego opakowania przed użyciem. Zrozumiałem, że traktuje mnie jako potencjalnego kretyna. Domyślam się jednak, że pielęgniarka miała swoje doświadczenia z różnymi chorymi, podczas gdy w wypadku profesorów wypadałoby założyć jakiś stopień mądrości – mimo wszystko.

Mógłbym piec ciasto według przepisu (gdybym umiał!). Nie będę uczyć według przepisu, nie będę też robić recenzji odnoszących się do pozycji od magisterium po profesurę według przepisu. Chcę nadto zapewnić, że w tym systemie nie pojawi się żaden nowy Kopernik, ani żadna nowa Maria Curie. Zresztą ani artykułu Kopernika, ani Marii Curie nikt by dziś nie przyjął do druku jako niezgodnych z ustalonymi standardami myślenia, ani tym bardziej nikt by nie dał grantu na badania takie, jak oni prowadzili – chyba że niezależnie od treści, te osoby zrobiłyby dobre wrażenie odpowiednim angielskim streszczeniem, dobraniem słów-kluczy oraz powołaniem w przypisach nazwisk promieniujących ze światowych, wiodących ośrodków. Pocięszam się, że na każdą raketę na ogół można znaleźć antyraketę. Przy pewnej wprawie sprawozdanie można zrobić strawnie dla administracji, książkę można rozmienić na artykuły, a potem wydać jako książkę itd.

Widzę jeszcze dalsze przyczyny spadku prestiżu profesury. Jeżeli granica środowiska rozmyła się, jeżeli miano profesora przysługuje dziś co drugiej osobie występującej w telewizji, a nawet poważni profesorowie godzą się mówić przed kamerą prawdy w rodzaju „woda jest mokra”; jeżeli najbambalniejszy komentarz o polityce, który mógłby robić właśnie polityk bądź dziennikarz, zasługuje na miano wytworu nauk politycznych; jeżeli tytuł profesorski służy do zupełnie innych karier; jeżeli osoba utytułowana może opowiadać bzdury jako naukowiec wspomagający działanie polityczne; jeżeli polityka jest uprawiana pod szyldem profesorskim, zaś sami profesorowie też nie szanują swego prestiżu, uczestnicząc w politycznych gierkach i stając się profesorami do wynajęcia... to nic dobrego z tego wyjść nie może.

Warto pamiętać, że jeżeli my nie będziemy posiadali prestiżu i nie będziemy lepszym, czy gorszym, ale najlepszym w ramach możliwości wzorem postępowania dla młodzieży (lecz będziemy załatwiać swoje interesiki i grać na punkty), to nie będziemy mogli wiele wymagać od studentów. Wręcz przeciwnie. Młodzież jest najczęściej zdumiewająco adekwatną karykaturą dorosłych.

Uniwersytet to także studenci. Oni sami zmienili się w stosunku do czasów naszej młodości. Nie znaczy to, że są od nas gorsi, ale są inni. Musimy przyjąć do wiadomości, że ich encyklopedyczna i faktograficzna wiedza wyniesiona ze szkoły średniej jest najczęściej bardzo zła. Musimy uznać, że w dobie elektroniki oni często nie odczuwają potrzeby wbijania sobie wielu wiadomości do własnej pamięci, wystarczy im pamięć komputera. Musimy zrozumieć, że większość z tych młodych ludzi nie zamierza i w ramach zdrowego rozsądku nie może zamierzać stać się naukowcami, do przygotowywania których jesteśmy najbardziej przystosowani. Z tego nie wynika jednak, że powinniśmy zmienić tryb studiów z takiego, którego podstawą był kontakt ucznia z nauczycielem oraz przekazywanie możliwie przodujących ustaleń dyscypliny, w wielką maszynę produkującą przeciętniaków, swoistą taśmę z mechanicznym sprawdzaniem nabytej i szybko zapominanej wiedzy jako podstawą. Nauka (badania) i nauczanie akademickie to nie jest produkcja seryjna. Szkolnictwo i nauka muszą mieć przynajmniej pewne cechy nie towarzyszące masowości (by nie powiedzieć elitarnie). Wyższa uczelnia powinna przede wszystkim rozwijać umysły oraz umiejętności pracy intelektualnej, a w tym chęci i umiejętności zdobywania wiedzy. Do tego trzeba zarówno dobrze kierowanych i pracujących zespołów nauczycielsko-studenckich, jak stwarzania pozytywnych bodźców dla poszczególnych jednostek. Tymczasem często nasuwa mi się pytanie, czy uskrzydłamy wychowanków, czy przycinamy im skrzydełka do wiedzy faktograficznej? Czy organizujemy dydaktykę jako system pobudzający, czy jako dołujący, czy jako żaden – bowiem taśmowy? Student gotów jest dać z siebie bardzo dużo, jeśli widzi, że profesor się nim interesuje – ale do tego profesor nie może być robotnikiem, ani nawet majstrem przy taśmie, zaś student nie może być kolejnym elementem do przykręcenia, który na dodatek musi zapłacić za dodatkowo dobierane zajęcia. Studentów trzeba ciągnąć w górę, a nie dołować. Tymczasem... Trudno mi zapomnieć, jak znajomy doktorant napisał mi o swoim udziale w dyskusji nad książką, którą uznał za marną: „Musiałem się trochę nagimnastykować, żeby zawoalować swój krytyczny stosunek do książki, a z drugiej strony przełamać swój idiotyczny, wpojony mi przez polski system edukacji, [wewnętrzny] głos: «doktorant nie powinien krytykować profesora»” (2013).

Rozumiem ograniczenia pojemności sal i laboratoriów. W mojej głowie mieści się wszakże karanie studenta za nicnierobienie, nie zaś za robienie ponad minimum – a do tego sprowadza się żądanie opłat za dobranie zajęć. Myślę, że w kontekście żądania takich płatności komuś trzeba zadedykować mit o królu Midasie. Zawsze namawiałem studentów, by studiowali drugi

kierunek zarówno dla rozwoju intelektualnego, jak dla polepszania szans na rynku pracy. Ci, którzy zastosowali się do tej rady, nie żalowali. Dziś już łatwo nie dobrać drugiego kierunku.

Warto też pamiętać, że uczelnia to miejsce (okres) kształtowania się osobowości studenta. Tę zaś kształtuje się nie w kontakcie z programem komputerowym i parametrycznie, lecz w kontakcie z profesorem, oby jak najświetlejszym. Razi mnie obowiązek zaliczania udziału w seminarium magisterskim co semestr na stopień – bowiem ludziom bliskim nie stawiam stopni, zaś właśnie w ramach seminarium magisterskiego staram się uczynić studentów sobie bliskimi. Mam wrażenie, że na ogół potrafiłem wyrazić im swoje uznanie bądź niezadowolenie bez stawiania stopni, a chyba z niezłymi rezultatami pedagogicznymi. Oceną z seminarium jest i powinna być komisyjnie dokonywana ocena pracy magisterskiej. Nawiasem mówiąc, bliiski kontakt z profesorem jest lepszym sposobem zwalczania plagiatów niż najwymyślniejszy program antyplagiatowy.

Uniwersytet nie może stawać się wyższą szkołą zawodową. To jest miejsce, gdzie powinno się studiować, a nie tylko uczyć się. Tymczasem trudno mi zapomnieć zdanie z listu jednego z moich najwybitniejszych uczniów, dziś już profesora: „generalnie atmosfera jest zniechęcająca do pracy intelektualnej, ot taka szkółka quasi-zawodowa” (2013). Niech się ludzie uczą, czego chcą, ale dlaczego „szkoła promocji” ma się od razu nazywać „Wyższą Szkołą Promocji”? Dlaczego szkoła gastronomiczna, o której powołaniu dowiedziałem się ostatnio z radia, ma się nazywać szkołą wyższą i przyznawać stopień licencjata? Już kiedyś stawiano pytanie, w imię czego aktor musi być magistrem lub profesorem sztuki. Teraz, przypuszczam, niedługo będziemy się zastanawiać, czy pojawią się profesorowie gotowania na gazie (ewentualnie: czy szefowie kuchni dostaną doktoraty za zanalizowanie własnego sposobu przygotowania dobrego jedzenia). Nie uwierzę w prowadzenie szkolnictwa na poziomie wyższym w szkole, która oferuje specjalizację zarazem w zakresie „audytu finansowego” oraz „seksuologii klinicznej”, nie będąc przecież wielką uczelnią, gdzie mieści się po prostu wszystko. Uniwersytet powinien ewentualnie uczyć takiej „wiedzy stosowanej”, ale ona nie może być jego istotą. Te praktyczne zastosowania nie zastąpią nauki oraz wykształcenia.

Jednocześnie jest jednak nieetycznym pięknoduchostwem niezwracanie uwagi na szanse zatrudnienia absolwentów. Nie ma sensu kształcenie nawet najlepszych umysłów, jeśli posiadacze naszych dyplomów (i umysłów) nie znajdą dla nich zastosowania. Nie mogę zaakceptować stanowiska, w myśl którego my „oferujemy usługę”, a jest sprawą nabywcy, czy ją kupuje – co usłyszałem przed laty, zdumiony i przerażony napływem studentów na kierunki bez wyraźnego zastosowania. Trzeba zdawać sobie sprawę, że

po pierwsze, nie wszyscy kupują, ale część młodych ludzi studiuje na koszt podatnika. Po drugie, nawet w wypadku transakcji kupna/sprzedaży uczciwy kupiec ostrzega o ograniczeniach stosowalności sprzedawanego artykułu. Nie powinniśmy być oszustami. Po trzecie, zwiększanie liczby studentów na kierunkach, które nie oferują szans zatrudnienia, jest frustrujące dla kadry. Trudno prowadzić dydaktykę przy udawaniu, że się nie wie, iż podopieczni nie mają szans. Po kolejne, w końcu przyjdzie moment, gdy znikną potencjalni „nabywcy”. W ogóle niezbyt podoba mi się sprzedawanie „produktów edukacyjnych” na podobieństwo kartofli. Tymczasem szkoły wyższe walczą o studentów jak dowolne firmy o nabywców swoich produktów i reklamują swoje „produkty edukacyjne” jak dowolne towary.

Oczywiście, uniwersytet postępuje za zmianami społeczeństwa, którego jest częścią. W świecie zaś wszystko jest teraz towarem i wszystko jest zstandaryzowane. Kubański rewolucjonista, Julio Antonio Mella, powiedział w dobie ożywienia studenckiego w Ameryce Łacińskiej w latach dwudziestych XX w., że po to, aby zreformować uniwersytet, trzeba przekształcić społeczeństwo. Próby przekształcenia społeczeństwa w kierunku, którego on pożytał, zbilansowały się wszakże bardzo źle, nie pomagając uniwersytetowi. Czy jednak mamy bezapelacyjnie podążać za szerszymi zmianami? Zgoda, że z niektórymi tendencjami nie da się walczyć, bowiem byłaby to walka z wiatrakami. Społeczeństwo zresztą *summa summarum* na nas łoży, dla społeczeństwa pracujemy, jesteśmy jego częścią, więc w jakimś sensie musimy akceptować jego ewolucję. Czasem jednak powiedzenie „tak, ale” byłoby może sensowne.

Nie można trwać na stanowisku, że ważne są na uczelniach jedynie dyscypliny bezpośredniego użytku. Zwłaszcza uniwersytety winny uprawiać pola rzadkie, wręcz dziwne dla ludzi z zewnątrz, gdzie nigdy nie będzie wielkiego zapotrzebowania, ale pewne istnieje. Zapotrzebowanie jest zresztą rzeczą trudno przewidywalną. Koreanistyka, arabistyka, japonistyka, czy dajmy na to, sinologia, kiedyś „egzotyczne”, w jakimś momencie okazały się jednak jak najbardziej potrzebne, podobnie jak ich absolwenci. Jednocześnie także w tej sprawie trzeba zachować zdrowy rozsądek – przede wszystkim w zakresie liczby studentów. Sam widzę kierunki tak licznie obsadzone, a zarazem głęboko specjalistyczne, że nigdy nie uwierzę w sens przyjmowania na nie znacznej liczby studentów. Boję się podawać mój ulubiony przykład, bowiem już wywołałem obrazę kolegów za rzekome niedoceniaenie ich kierunku studiów. Zostałem obwiniony za rzekome parokrotne ataki na nich. Przekazano mi niesłyszany przeze mnie bezpośrednio protest przedstawiciela jednego ze związków zawodowych o to, że swoim głosem wspomagam politykę ograniczania personelu itd. Ponieważ oczywiście, jak wszyscy, chciałbym zwiększać możliwości zatrudnienia na uniwersytecie,

zaś one są funkcją liczby studentów, rozumiem, że powinienem popierać zwiększanie liczby studentów niezależnie od sensu i bezsensu. Trudno mi jednak zapomnieć wiedzę historyczną o zdarzających się w dziejach konsekwencjach pojawienia się dużej liczby sfrustrowanych absolwentów bez zatrudnienia. W kategoriach bardziej doraźnych trudno mi nie myśleć o dramacie młodego człowieka, w oczywisty sposób zdolnego, absolwenta dwóch kierunków humanistycznych, mieszkańca małego miasta, który napisał do mnie z prośbą o pomoc w znalezieniu pracy. Nie znaleźliśmy się wzajemnie, pewno skądś wziął moje nazwisko. Próbowałem mu jakoś pomóc, zresztą bezskutecznie – skoro otrzymywałem dramatyczne listy, jak np. taki: „Czy wedle Pana oceny poprawiła się sytuacja w mediach warszawskich i w ogóle na rynku pracy? Czy może miałby Pan dla mnie jakąś pracę? Nawet jakąkolwiek, gdziekolwiek. Może coś Pan słyszał, coś Pan wie, ma Pan informacje z drugiej ręki? A może mógłby mi Pan pomóc, nakierować, podpowiedzieć, gdzie się zgłosić? Wie Pan, w tym naszym dzikim kraju jest strasznie trudno ruszyć z miejsca. Czy gdy będę w Warszawie, to moglibyśmy się spotkać i porozmawiać?”.

Kolejny list zrobił na mnie jeszcze większe wrażenie: „Może gdybym się podpalił pod kancelarią premiera, albo jak Ryszard Siwiec na Stadionie X-lecia, to może wtedy byłby «dym»? Oczywiście zadzwonię pod wskazany numer. Może ten ktoś coś wymyśli? [...] 1 październik się zbliża, a chyba wszyscy profesorowie w całej Polsce powinni z wielkim bólem przyjąć nowych 19-latków na I rok i z jeszcze większym bólem wypromować tych 24-latków, z roku V, wiedząc, co ich czeka. Muszę jeszcze Pana zapytać, czy może miałby Pan coś poza mediami lub w ich niedalekim sąsiedztwie? Może, jeśli Pan w tej całej Warszawie działa, to może zna Pan kogoś «na mieście», kogoś nazwijmy to «wplywowego», kto mógłby mi pomóc? Niekoniecznie w mediach, skoro taki ktoś jak ja nie mógłby w nich liczyć na przetrwanie. Bo wie Pan, to jest jakiś absurd i pułapka bez wyjścia. Przecież musi być jakiś sposób. Do jakich jeszcze konkretnych, wpływowych osób, firm się zgłosić? Może mi Pan coś podpowiedzieć, tak po znajomości? Zwykle rekrutacyjne ogłoszenia nie pomagają. Takie czasy. Powiedzmy sobie szczerze, tu trzeba wymyślić coś extra. Trzeba wymyślić proch! Ale jak wymyślić, jeśli z pustego i Salomon nie należy? Znowu jakieś błędne koło i sprzeczność”.

Z uwagi na rynek pracy uniwersytet, nie odstępując od swego powołania, powinien dawać możliwie szeroką podstawę, znacznie szerszą nawet niż dzisiejsze kierunki studiów traktowane każdy z osobna. Powinien kłaść nacisk na specjalizację o tyle, o ile jest ona korzystna dla rozwoju umysłu i umiejętności pracy umysłowej, zaś obudować programy zajęciami i dodatkowymi kursami w zakresie różnych specjalizacji naukowych i praktycznych – takimi, które by zwiększały szanse absolwentów na rynku pracy. Nie są

dobrymi rozwiązaniami kierunku „bezpieczeństwo narodowe”, „bezpieczeństwo wewnętrzne”, „turystyka historyczna”, „krytyka artystyczna”, „komunikacja wizerunkowa”, „dyplomacja europejska”, „optometria”. To wszystko powinny być specjalizacje, czy studia podyplomowe.

Uniwersytet to badania naukowe. Wiem, że przysłowiowy obraz dawnego uczonego, siedzącego wyłącznie w archiwum, a pod koniec życia przesiadającego się za biurko w domu, w celu napisania wiekopomnej syntezy, już nie wróci. Może to i dobrze. Taki obraz nie był dla mnie sympatyczny, sam zresztą byłem i jestem jego przykładem w stopniu mniejszym niż wielu kolegów z branży. Z drugiej strony, dla współczesnych tendencji nie znajduję innego określenia niż „macdonaldyzacja” nauki; jestem zresztą jednym z wielu, którym się ono nasuwa. Te wszystkie punkty, terminy realizacji, te kwestionariusze...

Dziś już nie pyta się, czy artykuł, wieńczący badania, jest dobry czy zły, lub o to, jakiej wartości jest czasopismo. Periodyk jest dobry, gdy daje punkty, które ostatecznie przeliczają się na pieniądze dla macierzystej instytucji autora. Redakcje wręcz reklamują swoje pisma wobec autorów dyskretnym napomknięciem, że „publikacja u nas przynosi x punktów”. Pracownicy są dobrzy, gdy zdobywają punkty, bo to przysparza pieniędzy. To nie jest tylko moje odczucie. Nie dysponuję oczywiście badaniami opinii kadry. Zrobił jednak na mnie wrażenie niedawny list mojego kiedyś ucznia, dziś bliskiego kolegi, badacza mocno „umiędzynarodowionego”. On też wyraził przekonanie, że system punktacji wprowadzony przez Ministerstwo doprowadzi do zabicia humanistyki. Napisał, że promuje się publikacje w czasopismach, których nikt nie czyta. Że nie docenia się książek, nad którymi autor nieraz pracuje lata. Że władze wydziałowe wręcz wzywają do machnięcia ręką na książki, chcą zaś publikowania artykułów w czasopismach z ministerialnej listy. Że w zakresie dydaktyki przyciągnięcie i utrzymanie studentów jest ważniejsze niż wszystko inne. Że, w sumie – i tu pada straszne zdanie – „uczelnie stają się coraz mniej sprzyjającymi miejscami do uprawiania nauki” (2013).

Gdy czytałem ten list, przypomniałem sobie rozmowę z owym kolegą, gdy kończył studia. Powiedział mi wtedy, że chce iść drogą naukową. Odrzekłem, że jestem pełen szacunku dla jego decyzji, ale – zapytałem – czy zdaje sobie sprawę, że wybiera drogę trudną, najczęściej mało efektywną, a z pewnością źle płatną? Wtedy, w związku z przemianą ustrojową, otwierały się przed absolwentami różne możliwości, więc narzucało mi się pyta-

nie, czy chłopak wie, co robi. Nie przewidziałem jednak, że po ćwierć wieku obaj będziemy mieli nosy spuszczone na kwintę w sprawach uczelnianych.

Odrzucają mnie – jak wspomniałem – prośby o opinie i recenzje polegające na odpowiedziach na standaryzowane pytania, w niektórych wypadkach nawet niedające szansy na powiedzenie czegoś od siebie. Odrzuca mnie tendencja do sprowadzania działań naukowych do głosowania tekstów stworzonych przez najwybitniejszych naukowców na świecie. Odrzuca mnie niedawno otrzymany list: „Szanowni Państwo, dla poprawienia oceny naszego dorobku naukowego w kolejnej ocenie parametrycznej niezbędne wydaje się publikowanie również w najwyżej punktowanych czasopismach i periodykach z tzw. listy A. Z przyjemnością zapraszam na szkolenie w tej sprawie, jakie zorganizował i poprowadzi dla Państwa dr hab. [...]”. Jednym z podanych tematów szkoleń ma być „Strategia i taktyka publikowania artykułów problemowych”.

Otóż deklaruje, że ja odmawiam gry w te klocki. Jestem jak najbardziej za wykładami z techniki pisania tekstu akademickiego dla studentów I roku. Może naiwnie sędzę jednak, że zawodowy personel wyższych uczelni powinien już tę umiejętność posiadać. Sam będę pisał nie artykuły do czasopism klasy dowolnej, lecz najlepsze w ramach własnych możliwości. Będę je wysyłał do czasopism potencjalnie zainteresowanych tematyką i takich, które najbardziej cenię. Będzie zaś sprawą redakcji decyzja o przyjęciu lub odrzuceniu tekstu. Nie zgodzę się na traktowanie pisarstwa związanego z aktywnością badawczą jako taśmowej produkcji, a umieszczania rezultatów jako działalności marketingowej. Produkcja taśmowa i marketing są, a przynajmniej w moim przekonaniu powinny być, atrybutami innych dziedzin działania. Będę pisał i starał się publikować za każdym razem, gdy nabiorę przekonania (zasadnego lub nie, to inna sprawa), że mam coś do powiedzenia, nie zaś według strategii sprzedaży. Może takie (moje) rozumienie nauki nie będzie współczesne, ale pozwolę sobie przypomnieć, że różne podejścia, które za każdym razem wydawały się niewspółczesne, miawały swoje renesanse.

W zaproponowanym nam systemie mało co prawdziwie oryginalnego może się narodzić – nad czym może nie ma co płakać. Możemy z pożytkiem uprawiać naśladownictwo, a w dziejach Polski w ogóle częściej było słychać hasła polityczne niż rozwojowo-cywilizacyjne. Kłopot tylko w tym, że oryginalność jest istotą nauki. W USA organizuje się kursy *creative writing*, gdzie przekazuje się uczestnikom możliwie najlepsze wzory dobrego pisarstwa, na przykład w zakresie pamiętników. To dobrze; emeryci mają co robić, a dla historyków powstają źródła. Nie ma co się jednak łudzić, że z tego powstanie wielka literatura. Podobnie w nauce robi się z nas wyrobników od wypiekania określonej liczby standardowych bułek. Przy dobrze zdefiniowanym standardzie mogą to być nawet dobre bułki – ale nauka polega na

oryginalności. Obecnie wszystko idzie w kierunku taśmy, przy której klika się w panel sterowniczy i zgodnie z programem coś wyskakuje. Tymczasem twórcza nauka jest przeciwieństwem taśmy. Mało, powinna być w cenie, gdy wszystko się teraz ujednocila, także w badaniach naukowych, poczynając od Bieguna Północnego, a kończąc na Ziemi Ognistej.

Dziś nie pożąda się indywidualności profesora. Paru wielkich w każdej dziedzinie wystarczy na cały świat – telewizja oraz Internet przeniosą ich słowa. Oczywiście kanon ma swoje wartości, ale ograniczenie się do kanonu zubaża. Jeśli Europa swego czasu wybiła się na prowadzenie, to dlatego, że była różnorodna. Polska powinna kłaść nacisk na oryginalność, bowiem jako naśladowca zawsze będzie ubogim krewnym, a jako mały kraj ma mniejsze szanse na różnorodność od krajów wielkich. Sprawa jest trudna, bowiem nie można się oddzielać w nauce od mód i tendencji – ale trzeba też proponować coś swojego. Wielkie odkrycia naukowe nieraz wyrosły z wyraźnie bocznych kierunków refleksji. Do stworzenia czegoś wartościowego trzeba trochę wariactwa, a nie tylko sprawnie wypełnianych sprawozdań. Żałuję, że zdarzało mi się już słyszeć w rozmowach opinie „to wariat” (ze wzruszeniem ramion) o bardzo twórczych kolegach. Istniejący system nie zachęca do ryzyka, a bez niego nie ma nauki.

Oczywiście, mamy mało szans przebicia się na świecie, a w gruncie rzeczy przebijają się ci Polacy, którzy wyemigrowali lub są półemigrantami. Jeśli jednak ogromna część naszej energii idzie w gwizdek, jeśli cenione są tylko artykuły, w których na co drugiej stronie jest odesłanie do kogoś wielkiego ze świata, to trzeba postawić pytanie, czy w ogóle chcemy coś wniesić. Na dzień dzisiejszy nie odnoszę wrażenia, żeby nauka polska w znaczący sposób oczekiwała od jej twórców czegoś oryginalnego. Reforma nie poprawiła tego stanu rzeczy. Obawiam się, że raczej przeciwnie.

Co nie najmniej ważne, uczelnia to też administracja, pieniądze oraz infrastruktura. Otóż z tego punktu widzenia jest to struktura bardzo niekonsekwentna i niesprawna. Na ogół na uczelni było przyjemnie i honorowo pracować, mimo wszystkich wzajemnych podgryzań istniało wśród nas poczucie wspólnoty, stosunki były na ogół lepsze niż gdzie indziej, praca była stosunkowo stabilna i ciekawa. To była pewna społeczność. Nie ma zaś społeczności, gdy liczy się punkty, ściga się na punkty, stosuje arkusze kontrolne jak przy przeglądzie technicznym czegokolwiek i liczy czas do najbliższego konkursu. Oczywiście system uczelni jako społeczności miał swoje wady. Wzajemne podgryzania nieraz przeważały nad sympatią i lojalnością, mogły

się tworzyć towarzystwa wzajemnej adoracji, a wszechwładny, czasem zdziwaczały, a z pewnością niekoniecznie mądry profesor zmieniał się w dyktatora. Obecnie uczelnia upodabnia się wszakże do jakiegokolwiek urzędu, czy fabryki – tylko bez ich różnych zalet. Jednocześnie szkoła wyższa jest krępowana rozlicznymi przepisami jako instytucja państwowa i ciałami kolegialnymi o charakterze naukowym, które mają niewielkie pojęcie o zarządzaniu oraz są po prostu niesprawne. Referowanie spraw finansowych na posiedzeniach kolegialnych, wraz ze wszystkimi regułami oraz informacjami o sposobach ich obchodzenia, przypomina panopticum i wzbudza zarazem śmiech i niesmak. Niedawne posiedzenie, w którym uczestniczyłem, poświęcone tym sprawom, przypominało działania typu falandyzacji prawa i w ogóle dom chorych umysłowo. Winni byli nie zabierający głosu, ale warunki, w których działają (tak często zresztą bywa przy chorobach umysłowych). Niezależnie jednak od warunków, dzisiejsze zarządzanie i finanse to nie są sprawy dla samorządu, to trzeba umieć. Obieralność i kadencyjność funkcyjnych uczelnianych w jakimś wymiarze zapewnia samorządność naukowców, ale wymaga takiego zaangażowania i predyspozycji (jeśli już nie umiejętności!) ze strony wybranych, że rzadko mogą to być ludzie o największym autorytecie naukowym – co by się jednak przydało. Jeśli nawet mają autorytet zawodowy, to mała szansa by go utrzymali, pogrążeni w absorbujących działaniach administracyjnych. Na dodatek nie ma przecież pieniędzy na realizację niejednego punktu zadań statutowych.

Związaną z administrowaniem sprawą jest wszechstronna, pogłębiająca się biurokratyzacja życia akademickiego. W coraz większym stopniu mamy biurokrację kafkowską i nieugiętą. NCN odmawia zmiany terminu konkursowego przesłuchania kobiecie, na dodatek mieszkającej w innym mieście, której wyznaczono ten termin w dwa dni po porodzie (jeszcze szczęśliwie, że nie w dniu porodu!). Dla uzyskaniu honorarium za recenzję oraz zwrotu delegacji za przyjazd do UAM w charakterze recenzenta na obronę pracy doktorskiej muszę we własnym uniwersytecie pójść do działu kadr, aby potwierdzić zajmowane stanowisko, oraz do działu płac po stwierdzenie, że zarabiam więcej niż minimum krajowe. Następnie powinienem ten poświadczony kwestionariusz wraz z oryginalnym zaproszeniem do przyjazdu dostarczyć do księgowości wydziałowej. Do tego trzeba dołączyć wypełniony blankiet delegacji ostemplowany w Poznaniu pieczętą poświadczającą obecność. Wszystkie wymienione miejscowe agendy mieszczą się w innych gmachach, jedna na innej ulicy. Z kolei po to, by Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego wypłaciły należną sumę (zresztą najczęściej groszową), trzeba przedstawić zaświadczenie, że praca została wykonana poza obowiązkami, podpisane przez kierownika zakładu, dyrektora instytutu i prodziekana od spraw finansowych – czego nie da się załatwić w ciągu jed-

nego dnia. Takie i podobne żądania są coraz liczniejsze. Pisanie wniosków grantowych jest konieczne, ale może warto zastanowić się, jaka proporcja pary idzie w gwizdek. Jestem pod wrażeniem słów niedawno przeczytanych w liście młodszej koleżanki: „Cały Instytut już (prawie) nic innego nie robi, tylko pisze wnioski albo sprawozdania. Dom wariatów” (2013).

Podobne uwagi można sformułować odnośnie do ciężkiej pańszczyzny administracyjnej studentów. Omawiając z ich grupą ewolucję dziejową procesów socjalizacji człowieka, poprosiłem jedną ze studentek, by przygotowała wypowiedź na temat „Jak przygotowuje mnie do życia uczelnia?”. Owa osoba, studiująca zresztą nie tylko historię, zaczęła od konstatacji, że w domu słyszała z ust trzech pokoleń, od babci po starszego brata, że studia to „najpiękniejszy okres w życiu człowieka”. Niemniej jednak – pisała – „na mojej psychice pojawiła się wielka, nieusuwalna rysa, która powiększa się z każdym dniem, każdym miesiącem, każdą rejestracją” – z powodu, którego jej starsi członkowie rodziny nie musieli doświadczać, czyli USOS. W dalszym ciągu studentka pisała:

[...] USOS. Cóż to właściwie jest? Odpowiedź brzmi: wcielony diabeł. Uniwersytecki System Obsługi Studiów, który w rzeczywistości studenta nie obsługuje. Być może, tak jak zawsze, najślabszym czynnikiem w funkcjonowaniu owego wspaniałego systemu, który dla mnie ma na celu tylko i wyłącznie kontrolowanie nas, jest człowiek. Człowiek, czyli ja oraz «Halinki» z dziekanatu. [...]

Uczelnia jest przedsmakiem tego, jak wygląda szare życie, szarego Polaka. Uczelnie polskie przygotowują nas do życia tylko i wyłącznie w tym kraju. Jest to biurokratyczna machina, utrudniająca człowiekowi życie. Machina złożona z często nieprzychylnych tobie ludzi. Nawet jeśli to najślabsze ogniwo uśmiecha się do ciebie, jest młode i otwarte na świat, nie pokłóciło się dzisiaj z mężem i nie wyrzuca cię za drzwi, to jednak jest naznaczone PRL-owskim myśleniem. Najczęściej polega to na tym, że [rozmówczyni] nie są w stanie samodzielnie podjąć decyzji, muszą się spytać kogoś, kto stoi wyżej, poza tym czasem nie chce się im pracować (jak każdemu w tym kraju). Może warto przytoczyć kilka przykładów. Czytając dzisiaj komentarze pod pewnym artykułem w Internecie, doszłam do jednego przykrego wniosku – Polacy wychodzą z założenia, że człowiek człowiekowi wilkiem. A my naprawdę nie musimy być dla siebie nieprzyjemni.

W tym roku okrutny USOS kazał mi stworzyć preferencję dla grup (na Wydziale [...]), do których chciałam chodzić. W moim przypadku polega na otwarciu tysiąca zakładek z planami na różnych wydziałach, różnych prowadzących, różnych przedmiotów, liczeniu punktów ECTS i robieniu nawet dla mnie niezrozumiałej tabelki, w której staram się znaleźć pasujące mi konfiguracje. Stworzyłam preferencję, jednak USOS postanowił wylosować zupełnie inaczej niż chciałam. Zaś ja postanowiłam, że będę chodzić od początku na te zajęcia, na które chcę chodzić. Jak postanowiłam, tak zrobiłam. Jest [wszakże] jedno „ale”: muszę to uregulować w USOS-ie, co wiąże się ze złożeniem podań. [...] Podanie należy wydrukować z systemu USOS, iść do opiekuna swojego roku, który dyżuruje wtedy, kiedy TY masz zajęcia, na docelowych zajęciach poprosić o zgodę pro-

wadzącego, poprosić o podpis osobę, z której zajęć się wypisujesz, samemu się podpisać, postać trochę w kolejce do «Halinek», zostawić podanie, czekać, czy Dyrektor podpisze zgodę, może w grudniu dowiesz się, czy jesteś na tej cholernej liście w USOS-ie, czy nie. [...]

Mój indeks nie jest jeszcze rozliczony, ale «Halinki» powiedziały, że mogę się zacząć martwić, jeśli nie będzie rozliczony w listopadzie, więc się nie martwię. Bardziej stresuje mnie pójście do dziekanatu niż cztery egzaminy w jednym tygodniu. Pominę już fakt, że nie wiem, czy przypadkiem nie będę musiała dopłacać za to, że chciałam zdobyć więcej wiedzy niż te 60 punktów ECTS, które przewiduje program studiów. I pominę, że to jest może 1% tego, co przeżywa rokrocznie każdy student. I pominę to, że właściwie każdy mówi co innego, że każdy jest traktowany inaczej, bo niektórym przyjmują podanie bez jakiegoś sensownego podpisu, a niektórzy są odsyłani z kwitkiem. Gdzie tu sens? Gdzie tu logika? I powiedzmy sobie szczerze, żeby wszystko było jasne. Tak na wszelki wypadek, jakby ktoś nie wiedział. Studia bezpłatne nie są w rzeczywistości bezpłatne. I nie mówię o tym, że komplet nowych wydań (absolutnie niezbędnych) podręczników na [...] kosztuje około 500 zł, a z każdym rokiem robi się coraz drożej. Chcesz robić coś ponad program – płacisz. Cennik opłat za studia stacjonarne jest przebogaty i rośnie niewspółmiernie do dochodu nominalnego studenta. Ciekawe jest, że w Instytucie [...] lepiej jest nie zdać egzaminu niż nie zaliczyć OGUN-a [wykłady ogólnouniwersyteckie]. Zaś warunek z pracy rocznej jest traktowany identycznie jak niezaliczenie ćwiczeń. Aż szkoda pisać podsumowanie. Uczelnia jest często początkiem naszej przygody z urzędami i wszechobecną biurokracją, zaś system stworzony by ułatwić studentowi życie, tylko je utrudnia. Poza tym lepiej byłoby, gdyby do życia socjalizowali nas mili ludzie, uśmiechnięci, może wtedy nawet sterty podań nie byłyby takie straszne (2013).

Reforma, obejmując środowisko konserwatywne i wymagające poruszenia, dała jednak rezultaty przeciwne. Negatywy środowiska przetrwały, a to, co nowe, nie jest dla mnie sympatyczne. Na dodatek to nowe, wprowadzane *par force*, wywołuje zwykłą w takich wypadkach reakcję obronną – niekorzystną.

Odechciewa się pracować, gdy zamiast ludzkich kryteriów oceny mam stosować głupie punkty; gdy zamiast recenzji wypełniam tabelki i odpowiadam na pytania, oszukując trickami komputer, by program poszedł dalej, jeśli napiszę zbyt mało w rubryce; gdy dostaję instrukcję pisania recenzji wydawniczych, gdzie jest powiedziane, że recenzja powinna być podpisana i datowana; gdy zbyt często obserwuję zupełny brak sympatii dla awansów naukowych młodych ludzi; gdy widziałem już złe wyniki głosowań nad sprawami ludzi i prac moim zdaniem najciekawszych; gdy po doświadczeniach w trzech przewodach awansowych młodszych ludzi w pewnej instytucji pozostało mi powiedzieć sobie, że postaram się, bym czwartego takiego

doświadczenia w tej instytucji nie miał; gdy moja uczennica z doświadczeniem przegrywa w konkursie z zupełnie zieloną osobą i musi szukać pracy w wieku, gdy nie jest o nią łatwo; gdy uczniowie, których uważam za wybitnych, otrzymują marne wyniki w głosowaniach; gdy moje określenie jednego z nich, jako wybitnego omal nie okazało się dlań „pocałunkiem śmierci”; gdy co drugi polityk jest profesorem, mając za jedyny dorobek mielenie językiem przed kamerami; gdy ogromny procent doktoratów honorowych jest przyznawany przez uczelnie politykom w interesie państwa lub dlatego, że uczelnie chcą się przy okazji dowartościować znanym nazwiskiem; gdy badania i dydaktyka coraz bardziej upodabniają się do pracy przy taśmie.

Jak z tych słów widać, mój bunt jest buntem na dwie strony – przeciw konserwyzmowi środowiska, a zarazem przeciw reformowaniu go w imię wzorów, które mi też nie odpowiadają, na dodatek reformowaniu z neoficką gorliwością. Trudno jest jednak walczyć na dwa fronty, gdyż można zostać zgniecionym przez oba walce.